



Krzysztof
Spadło

Skazaniec

Tom IV

Krzysztof Spadł o

Skazaniec

Tom IV

Czapki z głów!

ZDJĘCIE I PROJEKT OKŁADKI:
Dariusz Herbowski

REDAKCJA I KOREKTA:
Anna Kolenda

ISBN:
978-83-945802-2-3

WYDAWCA:
KAGO

KONWERSJA DO WERSJI E-BOOK:
Marcin „Kamyk” Kamiński (dobre.media)

KONTAKT:
krzysztof.spadlo@skazaniec.com
www.skazaniec.com

Copyright © 2016 Krzysztof Spadło & KAGO

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2016

*Dla Leszka Wojtaszaka.
Na wieczną pamiątkę naszej znajomości.*

Nie wiem jak długo ślęczałem obok drzwi. Czas przestał istnieć. Chłód posadzki przenikał przez moje ciało, umysł zapadł się w ciszę, a duszę wypełniały pustka i nicość.

Powiadają, że człowiek potrafi wyrzucić z pamięci prawie wszystkie wspomnienia, z którymi wiążą się traumatyczne przeżycia. To chyba prawda. Wiele razy próbowałem przypomnieć sobie kawałek mojego życia od chwili, kiedy Frantz prężnym krokiem opuścił blok B aż do momentu, gdy po drugiej stronie okna rozległ się warkot zajeżdżających pojazdów.

W mojej głowie jawią się tylko pojedyncze slajdy.

Żadnych uczuć.

Żadnych emocji i doznań.

Pamiętam jedynie kilka obrazów, które zapisały się w zakamarkach mojego umysłu z iście fotograficzną precyzją.

Na podłodze leżą szczątki połamanego taboretu. Z rozłupanych fragmentów drewna wychylają się na boki ostre końcówki drzazg.

Za oknem, po drugiej stronie krat, puszyste bałwany białych chmur malują się na błękitnym, wrześniowym niebie.

Szary, pomięty koc bezładnie rzucony na pryczę.

Na półce zawieszanej ponad stołem spoczywa pudełko po wiśniach w czekoladzie i książka autorstwa braci Grimm.

W rogu, tuż obok wiadra w połowie napełnionego wodą, leży metalowa miska o pogiętych obrzeżach i stara łyżka.

To wszystko.

Nic więcej.

Czy to możliwe, żeby świadomość człowieka opuściła ciało, kiedy

jego organizm jeszcze żyje? A może wtedy zostało mi dane doświadczyć czegoś mistycznego?

Nie wiem.

Chyba próżno szukać jakiegokolwiek odpowiedzi.

Hałas dobiegający po drugiej stronie więziennego muru wyszarpał mnie z krainy niebytu. Miałem wrażenie, że w jednej sekundzie przez wszystkie zakamarki mojego ciała mkną setki nerwowych impulsów.

Skuliłem się bardziej w sobie, zacisnąłem pięści i poczułem, jak każdy mięsień przeistacza się w stalową bryłę.

Instynktownie nadstawiłem uszu.

Moim umysłem zawładnął strach, oddech stał się płytki i szybki, a serce w piersiach rzuciło się do galopu niczym dzikie, spłoszone zwierzę.

Położyłem dłonie na posadzce i przykucnąłem. Przez kilka chwil trwałem w tej pozycji i nasłuchiwałem. Ostrożnie, powoli i bezszelestnie ruszyłem na klęczkach w kierunku okna.

Wsparłem się plecami o ścianę, dźwignąłem ciało i chyba po raz pierwszy w życiu bałem się spojrzeć na świat po drugiej stronie prętów.

Do moich uszu docierał miarowy warkot silników.

Wewnątrz głowy rozchodził się irytujący, rytmiczny szum. Złęknione serce tłoczyło gęstą, lepką krew, która z trudem przeciskała się przez wąskie tunele tętnic i żył. Dudnienie pulsu rozsadzało mi skronie, czoło zrosiły krople potu, a w pachwinach poczułem ciepłą, śliską wilgoć.

Wstrzymałem oddech i ostrożnie zerknąłem zza krawędzi okna.

Dostrzegłem kilka opancerzonych pojazdów. Na każdej burcie widniały insygnia: czarne krzyże w białym otoku. Nagle w oddali, na drodze wiodącej wprost ku więziennej bramie, pojawiły się czołgi. Ryk silników coraz głośniejsz rozbrzmiewał w przestrzeni. Ich ponury odgłos narastał niczym pierwsze akordy preludium

zwiastujące mroczną symfonię Wagnera. Kolumna żelaznych potworów zbliżała się z każdą chwilą. Towarzyszyły jej złowieszcze zgrzyty przeszywane ostrymi, metalicznymi piskami. Jakimś cudem te dźwięki zamieniały się w rozżarzone szpikulce i z bólem wdierały się do wnętrza czaszki. Stalowe taśmy gąsienic z jazgotem sunęły po bruku i bezlitośnie tarły o granitowe łby. Rury wydechów ciskały w powietrze kłęby czarnych spalin.

Pierwszy z czołgów zatrzymał się ze szczękiem, a pozostałe pojazdy pancерnej kolumny jak na komendę zrobiły to samo.

Od więziennej bramy dzieliło go niespełna dwadzieścia metrów.

Najpierw lufa uniosła się nieco w górę, a potem cała wieżyczka zaczęła wolno obracać się w prawo. Lustrowali teren. To było pewne, że w razie jakichkolwiek wątpliwości lub podejrzeń, są gotowi oddać strzał. Cofnąłem głowę, przywarłem plecami do ściany, a na skórze poczułem dreszcz przerażenia. Byłem przekonany, że jeśli jeszcze raz zerknę w okno, czarna źrenica lufy wypatrzy mnie w tym miejscu, a wtedy ktoś ukryty w skorupie żelaznego pancerza naciśnie jęzor spustu. W tej samej sekundzie, kiedy rozlegnie się huk wystrzału, pocisk rozszarpie mnie na strzępy, a więzienną celę zamieni w wyrwę pełną gruzu. Nawet nie zdążę poczuć, że umieram. Ta myśl sprawiła, że ogarnął mnie strach, jakiego jeszcze nigdy nie zaznałem. Moje kolana zaczęły drżeć i nie byłem w stanie utrzymać się na nogach. Osunąłem się wzdłuż ściany, a uczucia pełne trwogi i grobowego chłodu wypełniały każdy zakamarek mojego ciała. Trudno mi powiedzieć, co wtedy działo się w mojej głowie. Czy w tamtej chwili umysł zapadł się w pustkę? A może znalazł się w królestwie chaosu, gdzie miliony myśli mkną w szalonym pędzie, a ja nie potrafię pochwycić żadnej z nich?

Moja rzeczywistość znowu się rozpada, nagle zdaję sobie sprawę, że siedzę skulony w kącie po lewej stronie drzwi. Światło dnia wpada do celi przez okno na przeciwnej ścianie. Ramionami obejmuję podkurczone kolana. Przez moje ciało mkną ciarki

lodowatych dreszczy. Mięśnie na przemian drżą i napinają się w atakach krótkich, nerwowych skurczów. Obłęd i strach próbują mnie rozszarpać swoimi pazurami, a jedyne co słyszę, to mój własny głos. W uszach rozbrzmiewa wyraźny szept:

- Ojczy nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi...

Od wielu lat na moich ustach nie gościły słowa modlitwy, ale w dniu, w którym niemiecka armia stanęła przed murami wronieckiego więzienia, zwróciłem się po ratunek do Stwórcy. Wiem, że to zakrawa na kpinę, lecz tak właśnie było. Dawno temu odsunąłem się od Boga i nieważne, czemu to zrobiłem. On doskonale wie, dlaczego tak się stało, ale nie w tym rzecz. Chodzi po prostu o to, że w życiu każdego człowieka pojawiają się takie chwile, kiedy zostaje już tylko modlitwa. Znać to stare powiedzenie – "jak trwoga, to do Boga". Nie jest wam obce, prawda? Problem w tym, że człowiek w swej ułomności musi najpierw doświadczyć owej trwogi, poznać jej oblicze na własnej skórze i przekonać się, jakie to podłe uczucie. Ile razy zdarzyło się wam skomleć w duchu - „Boże, dopomóż!” albo „Boże, błagam, zlituj się!”. No, ile razy? Jak wiele było w waszym życiu deklaracji, obietnic i przysięg, które składaliście w myślach przed Wszechmogącym? A ile razy dotrzyмалиście słowa danego Bogu? No? Ile razy? Ale tak szczerze i uczciwie, jak to powiadają "z ręką na sercu", ile razy? Człowiek bardzo szybko zapomina o takich postanowieniach, a jeszcze szybciej potrafi rozgrzeszyć samego siebie.

Siedziałem wciśnięty w róg, jakbym pragnął przeniknąć do wnętrza chropowatych ścian. W mojej głowie pojawiły się nierealne marzenia. Byłem w stanie zaprzedać diabłu duszę w zamian za nadludzką moc, która pozwoli mi wtopić się w więzienne mury i zniknąć w ich ramionach. Ukryć się.

Pozostać tam aż po kres ich trwania.

Od strony więziennego korytarza dobiegały niewyraźne odgłosy.

Co chwilę padały jakieś krótkie komendy.

Tupot biegnących nóg.

Zgrzyt kraty oddzielającej blok B od głównego holu odbił się echem pośród ścian.

Jak zahipnotyzowany wpatrywałem się w drzwi. Wiedziałem, że niebawem zjawią się przed moją celą. *Boże, proszę o szybką śmierć, proszę oszczędź mi bólu* – w duchu gorliwie szeptałem tylko to jedno zdanie. Czułem, jak coraz mocniej zaciskam splecione palce dłoni. Została mi tylko modlitwa.

Ostatnia modlitwa w moim marnym życiu.

- Kontrolliere alle Zellen! - nagle ktoś wrzasnął rozkazującym tonem.

Serce w piersiach uderzyło ze zdwojoną siłą.

Wszystko wskazywało na to, że na więziennym korytarzu jest sporo ludzi, którzy już chyba mieli świadomość, że szturmują pusty budynek.

Wszędzie było słycać kroki.

Zelówki butów z charakterystycznym dźwiękiem uderzały o posadzkę.

Tętent nóg wbiegających po schodach.

Okrzyki i nawoływania.

Wściekły stukot drewnianych podestów.

Co chwilę rozlegał się łomot drzwi uderzających o futryny.

Byli wszędzie.

- Hier liegt eine Leiche! - Słowa dobiegły z niższej kondygnacji.

Znowu tętent biegnących nóg.

Odgłosy panującego zamieszania przybierały na sile.

Z różnych stron padały niezrozumiałe komendy.

Z każdą sekundą podnosił się coraz większy gwar.

Nagle rozległ się dźwięk dzwonu na sterowni. Gong nie zdążył jeszcze zamilknąć, kiedy ktoś rzucił rozbawionym, donośnym głosem:

- Wenn die Polen so kämpfen sollten wie hier, dann gehört das Land uns jetzt schon!

W tej samej chwili salwy śmiechu pomknęły przez więzienne korytarze.

Nawet nie byłem w stanie domniemywać, jaki był sens wypowiedzianych słów.

Odważnie stawiane kroki zadudniły na podeście.

Pióro drzwi z hukiem uderzyło o futrynę.

Następne.

Kolejne.

Jeszcze trzy!

Dwie!

Jedna...

- Herr Leutnant! Die Tür ist abgeschlossen! - krzyknął ktoś stojący na wprost mojej celi. - Hier, Herr Leutnant!

W zgiełku zamieszania wyraźnie słyszałem, jak zbliża się kilka osób.

Prężnie stawiane kroki dotarły pod moją celę.

Rozmawiają.

Czuję silny łomot w piersiach.

Niewidzialna obręcz ściska mi krtań.

Nie mogę zaczerpnąć oddechu!

Dookoła mnie tylko lęk i przerażenie.

Kurczę się i zapadam w sobie.

Boże, żeby tylko nie bolało – jęknąłem w myślach.

- Hau das Schloss kaputt! - pada krótka komenda.

Wtem uderzenie.

Następne.

I jeszcze jedno.

Kolba karabinu poradziła sobie z kłódką.

Szurnięcie zasuwamy!

Drzwi otworzyły się na oścież.

Przerażony spojrzałem w ich kierunku.

Do celi ostrożnie wkroczył postawny żołnierz.

Miał na sobie mundur w szaro-kamiennym odcieniu, a na głowie charakterystyczny, czarny hełm. Nagle dostrzegł mnie kątem oka i nerwowo obrócił się w moją stronę. Błyskawicznym ruchem skierował we mnie lufę karabinu i jednocześnie odbezpieczył broń. Skulony w kącie zacisnąłem powieki i odruchowo zasłoniłem dłońmi głowę. Byłem pewien, że kula niosąca śmierć zaraz spotka się z moją czaszką.

Kolejna sekunda zamieniła się w wieczność.

Strach złapał mnie w swoje szpony.

Zamiast huku wystrzału w uszach rozbrzmiały niezrozumiałe słowa:

- Herr Leutnant! Hier ist ein Mann!

Nie miałem odwagi spojrzeć.

Ktoś jeszcze wszedł do celi.

Uniosłem powieki i w szparach pomiędzy palcami dostrzegłem, że na wprost mnie stoją dwie osoby.

- Steh auf! - warknął drugi głos. - Steh auf!

Opuściłem dłonie.

Żołnierz, który trzymał mnie na muszce, zrobił krok do przodu, pochylił się, energicznym ruchem złapał mnie za poły więziennej bluzy i krzyknął mi prosto w twarz:

- Hast Du nicht gehört, was der Herr Leutnant gesagt hat!? Steh auf! - Szarpnął mnie ku sobie.

Strzelałem wzrokiem po ich twarzach.

Drugi wojskowy musiał być wyższy rangą. Całkiem możliwe, że był oficerem, bo zamiast hełmu miał czapkę, a na patkach kołnierza i na pagonach widniały bardziej bogate wzory. Mężczyzna przez chwilę przyglądał mi się badawczym wzrokiem.

- Wer bist Du? - powiedział, a ja słysząc ton jego głosu domyśliłem

się, że chyba o coś pyta.

Na krótką chwilę zapadła cisza.

- Der Herr Leutnant fragt dich, wer Du bist!?! - żołnierz z hełmem na głowie warknął nerwowo przez zaciśnięte zęby i skierował lufę karabinu wprost na mą pierś.

Nie rozumiałem ani jednego słowa.

- Ganz ruhig, Soldat – odezwał się ten drugi. - Der Mann versteht es nicht, was wir zur ihm sagen – po czym zerknął w lewo, a jego wzrok spoczął na półce wiszącej ponad stołem.

Obrócił się na pięcie i podszedł w jej kierunku. Najpierw sięgnął po książkę, zerknął na stronę tytułową i przewertował stronicę. Następnie wziął w dłonie metalowe pudełko i zdjął wieko. Powoli zaczął przeglądać zawartość. Był bardzo dokładny. Jedna z kremowych kopert przykuła jego zainteresowanie. Wyjął ze środka list i zaczął czytać. Domyśliłem się, że trzyma w dłoniach wiadomość od Helmuta von Gerswalde. Nagle obejrzał się przez ramię i spojrzał na moją twarz. Nasze oczy spotkały się na krótką chwilę. Nie miałem śmiałości patrzeć w jego źrenice i opuściłem wzrok. Wpatrywałem się w cholewy jego wysokich butów, które były pokryte kurzem z polnych dróg.

Oficer podszedł do okna, przez chwilę spoglądał na świat po drugiej stronie i powiedział jakby do siebie:

- Wie ich es sehe, der Sturmbannführer Martin Ficken ist schon angekommen – po czym zwrócił się w kierunku żołnierza, który stał przede mną i rzekł – sage es ihm, was für eine Situation wir hier haben.

- Jawohl, Herr Leutnant! - Wojak strzelił obcasami, obrócił się na pięcie i wyszedł.

Stałem pod ścianą z lekko pochyloną głową i nie miałem pojęcia, co się dzieje.

Mężczyzna do którego żołnierz zwracał się „Herr Leutnant”, zrobił dwa kroki w przód, czubkiem buta delikatnie kopnął w jedną z nóg roztrzaskanego taboretu i patrząc w stronę otwartych drzwi,

powiedział:

- Du, da! Räume es hier auf!

Do celi wszedł kolejny żołnierz, pozbierał roztrzaskane nogi taboretu i wyniósł je na korytarz.

Oficer stanął przede mną, wziął głęboki oddech i rzekł:

- Gut, das Du nicht mein Problem bist.

Wypowiedział dziwnie brzmiące słowa i odszedł.

Sekundę po tym, jak zamknął za sobą drzwi, usłyszałem zgrzyt stalowej zasuw.

Stałem w miejscu i czułem, że moje kolana zaczynają więdnąć.

Przez głowę mknęły tabuny zaskoczonych myśli. Nie wiedziałem, co z sobą począć. Sięgnąłem do kieszeni i rozdygotanymi palcami chwyciłem za mosiężną papierośnicę. To trwało dobrą chwilę, nim wyjąłem szluga i włożyłem go do ust.

Zapaliłem.

Wciągnąłem głęboko dym w płuca i poczułem wszechogarniającą ulgę.

Usiadłem na pryczy.

Przez kilka minut liczył się tylko smak tytoniu, a cały świat przestał istnieć.

Przed więziennym murem nie było już czołgów. Wzdłuż ulicy stały w rzędzie opancerzone transportery i kilka ciężarówek z maskującymi plandekami. Dookoła roilo się od ludzi w niemieckich mundurach. Z tego miejsca widziałem tylko skrawek wybrukowanego dziedzińca, ale dostrzegłem tam dwa czarne auta. Były inne. Nie pasowały do tej żołnierskiej scenerii za oknem. Wyglądały jak zadbane limuzyny i w niczym nie przypominały wojskowych pojazdów. Takie samochody mogły należeć tylko do wysoko postawionych dygnitarzy.

Siedziałem na pryczy i nie mogłem zebrać myśli. Na więziennym korytarzu panował nieustający zgiełk. Podeszwy

butów niczym zaczarowane kopyta dudniły o drewniane podesty. Co chwilę padały jakieś komendy i nawoływania. W pewnym momencie miałem wrażenie, że na najniższej kondygnacji po terakotowej posadzce, jacyś ludzie toczą z łoskotem metalowe beczki. Podeszedłem bliżej drzwi i nadstawiłem uszu. Przyszło mi do głowy, że dzisiejszego popołudnia wronieckie więzienie zamieni się w koszary.

Nagle zapadła cisza. Wszystko ustało, jakby cały świat zamilkł i zatrzymał się w miejscu. Po chwili od strony sterowni rozległ się władczy, donośny głos. Podejrzewam, że musiał przemówić ktoś bardzo ważny. Kiedy usłyszałem, jak lekko ochrypłym tonem wypowiada twarde, niemieckie słowa, jak intonuje barwą swojego głosu kolejne kwestie, to chociaż nic nie rozumiałem, zimne mrowienie otuliło mój kark. Ten człowiek mówił bardzo swobodnie i płynnie. Z jego słów wydzierają się taka pasja i siła, że nawet ja poczułem, iż każda wypowiedziana zgłoska niesie z sobą nieokiełznany ładunek emocji. Przez kilka minut trwał popis tej niebywałej, natchnionej oracji. Największym zaskoczeniem był dla mnie fakt, że kiedy mówca zakończył swój wywód, to w tej samej chwili z gardeł wszystkich słuchaczy rozległ się jeden potężny ryk: - Sieg Heil! Sieg Heil! Sieg Heil!

W mojej wyobraźni ten po trzykroć rzucony okrzyk miał w sobie taką moc, iż nawet ponure więzienne mury z lękiem zadrżały w posadach.

Leżałem na pryczy z podkulonymi nogami i tępym wzrokiem wpatrywałem się w ścianę. Zarówno od strony korytarza, jak i okna docierały odgłosy bezustannego zgiełku. Wszystkie dźwięki były tak intensywne i żywe, jakbym znajdował się w sercu zatłoczonego targowiska lub na najbardziej ruchliwej ulicy miasta, a nie w małej, zamkniętej celi. Kiedy próbowałem na dłuższą chwilę zamknąć powieki, wszystko stawało się jeszcze bardziej odrealnione i abstrakcyjne.

Nagle pośród tego chaosu rozległ się zgrzyt zasuwy, a mój słuch natychmiast wychwycił ten znajomy odgłos. Ponad siedemnaście lat w pudle wystarczyło, żeby zakorzenił się we mnie odruch warunkowy, który wywołał odpowiednią reakcję. Reakcję szybszą niż myśl biegnąca przez umysł. Błyskawicznie poderwałem się na równe nogi i nim otwarły się wrota celi, stałem na baczność obok okna z rękoma opuszczonymi w dół i dłońmi na widoku.

W świetle drzwi zobaczyłem trzech ludzi.

Na pierwszym planie był postawny mężczyzna w mundurze o zgniłozielonej barwie, a za jego plecami oficer i żołnierz, ci sami, których już dziś widziałem.

Ów człowiek wszedł do środka, omiół celę wzrokiem i odchyliwszy głowę nieco w prawo, powiedział jedno słowo:

- Der Stuhl!

- Jawohl! - Natychmiast padła odpowiedź.

Kilka sekund później żołnierz pojawił się z taboretom w dłoniach, który prawdopodobnie wziął z celi obok.

Mężczyzna spojrział na niego pogardliwie, westchnął z teatralnym zrezygnowaniem i powiedział spokojnym tonem, jakby zwracał się do dziecka, a nie do żołnierza:

- Den Stuhl, habe ich gesagt. Nicht den Hocker.

- Jawohl! - Wojak strzelił obcasami, obrócił się na pięcie i szybkim krokiem opuścił pomieszczenie razem z przedmiotem, który dzierżył w rękach.

Ten, który wydawał rozkazy, przez chwilę rozglądał się po celi i w ogóle nie zwracał na mnie uwagi, jakby mnie tu wcale nie było. W palcach prawej dłoni obracał srebrną zapalniczkę. Jeżeli swoim zachowaniem chciał wzniecić w mej duszy niepokój, to nie musiał się trudzić. Wystarczył mi widok ponurego munduru, emblemat trupiej czaszki na czapce i dwie srebrne błyskawice na prawej patce kołnierza. To zupełnie wystarczyło, żebym poczuł należyty respekt. Swego czasu widziałem w gazetach zdjęcia ludzi w takich uniformach i czytałem prasowe doniesienia o niemieckiej, elitarnej

formacji zwanej w skrócie SS. Nawet dziś, po tak wielu latach muszę przyznać, że wojskowe mundury wychodzące ze szwalni, których właścicielem był Hugo Boss, miały imponujący styl i szyk. W ich kroju było coś, co natychmiast nasuwało skojarzenie, że człowiek odziany w ten dostojny uniform reprezentuje władzę nieuznającą sprzeciwu.

Wtem w drzwiach znowu pojawił się żołnierz, ale zamiast taboretu miał krzesło z wysokim oparciem.

Mężczyzna w czerni powiedział:

- Danke, Soldat. - Dłonią wskazał mu miejsce, gdzie miał położyć przedmiot. - Und jetzt stelle dich in der Ecke. – Kiwnął głową. - Halte die Waffe schussbereit.

- Jawohl! - odparł żołnierz, stanął w rogu i lufę karabinu skierował w moją stronę.

Wydający polecenia usiadł na krześle, założył nogę na nogę, spojrzał w kierunku otwartych drzwi i powiedział:

- Kommen Sie rein, Herr Leutnant. Und machen sie die Tür zu der Lärm auf dem Flur, der lässt sich nicht aushalten. – Oficer, którego cholewy butów były pokryte kurzem, wszedł w głąb celi i zamknął za sobą drzwi.

Esesman zdjął z głowy czapkę i położył ją na stole. Grzbietem prawej dłoni strzepnął drobny pyłek, który tylko on dostrzegł na prawej nogawce swoich bryczesów i dopiero wtedy spojrzał na mnie. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w moje oblicze, jakby chciał coś z niego wyczytać.

- Verstehst Du Deutsch? - zapytał łagodnym tonem, patrząc mi prosto w oczy.

Nie miałem pojęcia, co mówi.

- Verstehst Du Deutsch? - ponowił pytanie.

- Herr Sturmbannführer... - odezwał się ten, którego tytułowali „Leutnant”, ale w tym samym momencie jego rozmówca, wciąż patrząc na mnie, uniósł do góry dłoń, jakby tym gestem kazał mu milczeć.

- Verstehst Du Deutsch? - po raz trzeci spokojnie powtórzył tę samą kwestię, a ja odniosłem wrażenie, że z nieco większą przenikliwością spogląda w moje źrenice.

Zdobyłem się na odwagę i mimowolnie kiwając przecząco głową, rzekłem:

- Nie rozumiem po niemiecku, nie wiem o czym pan mówi.

Ten na dźwięk moich słów uśmiechnął się nieznacznie i powiedział:

- Nimm Platz. – Dłonią wskazał na pryczę.

Nadal stałem w miejscu, bo nie byłem pewien, o co mu chodzi.

- Nimm Platz – powtórzył słowo i gest. Jednak dopiero kiedy pochylił się nieco do przodu i poklepał dłonią w siennik, zrozumiałem jego intencje.

Usiadłem.

Skierował swoją twarz w prawo i spokojnym głosem zaczął mówić do oficera, który sterczał obok drzwi. Kiedy skończył, ten rzucił tylko krótkie:

- Jawohl! - Zasalutował i wyszedł z celi.

Człowiek siedzący na wprost mnie zainteresował się przedmiotami spoczywającymi na stole. Zapalniczkę, którą ciągle obracał w palcach, położył obok czapki i sięgnął po książkę. Zerknął na okładkę, przekartkował stronicę, potem pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć z uznaniem i z zaskoczeniem - „no proszę proszę”. - Odstawił lekturę, po czym przyciągnął ku sobie metalowe pudełko. Wyjął pierwszy z góry list, najpierw spojrzął na stempel pocztowy, odwrócił kopertę i kiedy przeczytał adres nadawcy, na jego twarzy pojawił się wyraz zdziwienia.

- Helmut von Gerswalde – szepnął i zerknął na mnie.

Rozchylił brzegi rozdartej koperty i wyciągnął ze środka list.

Widziałem, jak jego wzrok ślizga się wzdłuż zapisanych linijek.

Kiedy skończył, sięgnął po następny.

Szybko się zorientował, że listy w kolejnych kopertach są pisane po polsku. Potem wyjął jedną z kolorowych pocztówek, które

dostawałem od Agnieszki z okazji urodzin. To była ta, na której ponad bukietem kolorowych kwiatów widniał duży napis „HAPPY BIRTHDAY”. Esesman nieznacznie uniósł brwi, spojrzał mi w oczy i rzekł:

- Do you speak english? - W jego głosie zabrzmiała lekka, aksamitna nuta.

Obrócił kartkę i od razu pojął, że nie przeczyta ani słowa.

Uważnie i bez pośpiechu przeglądał pozostałą zawartość pudełka.

Wtem otwarły się drzwi i do celi weszło dwóch ludzi. Jednym z nich był oficer w zakurzonych cholewach. Strzelił obcasami i zameldował:

- Herr Sturmbannführer, das ist der Gefreiter Dieter Norbacht, der spricht fliessend Polnisch.

Mężczyzna siedzący na krześle spojrzał na nich, a potem zwrócił się do żołnierza, który stał w rogu pomieszczenia i mierzył do mnie z broni:

- Hole ihm einen Hocker, damit er sich setzen kann. – Kiwnął głową w stronę nowo przybyłego. - Und dann kannst Du zur deinen Aufgaben zurrückgehen.

- Jawohl! - Wojak zniknął za drzwiami.

Chwilę później pojawił się z taboretem w dłoni, położył przedmiot pod ścianą i wyszedł z celi zamykając za sobą drzwi.

Pomiędzy esesmanem, oficerem i tym nowym najpierw przez kilka minut toczyła się dyskusja, a potem człowiek w zielonym mundurze zaczął chyba wydawać jakieś konkretne polecenia. „Herr Leutnant” przez cały czas nieznacznie potakiwał głową, aż wreszcie zasalutował, rzucając krótkie:

- Jawohl! - Obrócił się na pięcie i wyszedł.

Zostaliśmy we trójkę. Ja, esesman i ten żołnierz, którego doprowadzono.

Siedziałem na pryczy i chcąc nie chcąc, przysłuchiwałem się ich dyskusji. W pewnym momencie esesman sięgnął dłonią do

wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyjął srebrną papierošnicę. Otworzył ją i zwrócił się do żołnierza:

- Eine Zigarette?

- Nein, danke. Ich rauche nicht – odparł zagadnięty.

- Eine Zigarette? - spojrział mi w oczy i wykonał taki gest, jakby mnie częstował.

Sięgnąłem po papierosa.

Mężczyzna najpierw przypalił sobie, a potem osobiście podał mi ognia. Kiedy to robił, zwróciłem uwagę na jego wypiełgnowane dłonie i idealnie zadbane paznokcie. Na kilka chwil zapadła cisza. Smak niemieckiego tytoniu zagościł w moich ustach. Ta przedziwna sytuacja sprawiła, że... poczułem ulgę. Strach i napięcie rozpierzchły się gdzieś w powietrzu. Nie było żadnej agresji, nikt nie podnosił głosu i nie demonstrował swojej przewagi. Był natomiast spokój, opanowanie i odrobina dystynkcji. Wciągnąłem dym w płuca. W tym samym momencie refleks światła odbił się od srebrnej taflii papierošnicy i ten błysk musnął moje źrenice. Mimowolnie spojrziałem na srebrny przedmiot spoczywający na blacie stołu i dostrzegłem tam prawdziwe arcydzieło sztuki grawerskiej. Na srebrnej oprawie widniał okazały wizerunek orła z rozpostartymi skrzydłami, który trzymał w szponach laurowy wieniec okalający znak swastyki. Wyglądał tak, jakby miał zaraz poderwać się do lotu. Zerknąłem w lewo. Ten żołnierz w szarym mundurze miał podobny symbol, aczkolwiek w bardziej surowym i topornym wykonaniu, wytłoczony na stalowej klamrze u paska. Był tam również napis, półokrąg z dużych liter układał się w słowa GOTT MIT UNS. Ci dwaj zaczęli z sobą rozmawiać. Szwargotali coś po swojemu, a ja, słysząc ich mowę, ujrzałem oczyma wyobraźni mojego przyjaciela. Z zakamarków wspomnień wyłonił się świętej pamięci Ojczulek i nagle przyszło mi do głowy, że staruszek mógł mnie kiedyś nauczyć niemieckiego. *Teraz byłoby jak znalazł* – szepnąłem w duchu, a ta myśl wydała mi się tak zabawna, że miałem ochotę parsknąć

śmiechem. Mój wzrok spoczął na czarnej, skórzanej kaburze, którą esesman miał przypiętą do pasa po lewej stronie. Jej widok sprawił, że przestało mi być wesoło. Kolejny sztach. To było dziwne uczucie tak siedzieć obok dwóch obcych ludzi, słyszeć wypowiedziane przez nich słowa i kompletnie nic nie rozumieć. Wypuściłem z płuc kłęby dymu i przez moment przyglądałem się, jak sine smugi wirują w powietrzu. Wtem usłyszałem słowa wypowiedziane najczystszą polszczyzną:

- To jest pan major Martin Ficken, który dziś przejął dowodzenie nad tym obiektem. – Oniemiałem z wrażenia. Żołnierz siedzący obok esesmana, mówił jak rodowity Polak! - Nazywam się Dieter Norbacht i podczas twojej rozmowy z panem majorem, będę pełnił rolę tłumacza. – Spoglądałem na jego pogodną twarz i nie byłem w stanie ukryć swojego zaskoczenia.

Wojak posłał mi szczery uśmiech, a potem zrobił taką minę, jakby chciał mnie zapytać, czy dobrze się czuję, lecz zamiast tego usłyszałem inne pytanie:

- Pan major chce wiedzieć, kim jesteś i dlaczego twoi rodacy zostawili cię zamkniętego w celi?

Przez moment strzelałem wzrokiem po ich twarzach. Już miałem zacząć mówić, kiedy poczułem, jak żar z papierosa nieprzyjemnie oparzył mnie w palce. Odruchowo upuściłem niedopałek na posadzkę i zdeptałem podeszwą.

- Nazywam się Stanisław Żabikowski – odparłem lekko drżącym głosem. - Mój numer ewidencyjny to dwadzieścia dziewięć jednaście. – Dłonią wskazałem ponad lewą, górną kieszeń na mojej bluzie. Zaczepnąłem powietrza i chciałem kontynuować, ale żołnierz, którego imienia nie zapamiętałem, chociaż przedstawił się zaledwie chwilę temu, zaczął tłumaczyć moją kwestię.

Gdy skończył, spojrzał na mnie i rzekł:

- Będziemy rozmawiać powoli, żeby uniknąć nieporozumień. Mówisz jedno zdanie, a ja je tłumaczę. Rozumiesz?

- Rozumiem – odparłem i zastosowałem się do jego polecenia. -

Jeden z więziennych strażników był do mnie wrogo nastawiony. – Zrobiłem pauzę. - W akcie zemsty pozostawił mnie tutaj na pastwę losu. – Poczekalem, aż on zrobi swoje i wtedy dodałem: – Część skazanych została ewakuowana, pozostałych puszczono wolno, a ja zostałem zamknięty w celi – nie bardzo wiedziałem, co jeszcze mogę powiedzieć.

Przez kilka chwil znowu rozmawiali między sobą.

- Na jaki wyrok zostałeś skazany? - zapytał i obaj wlepili we mnie wzrok.

Przyznam się wam, że w pierwszym momencie chciałem skłamać, ale sekundę później coś mnie tknęło. Zupełnie jakby ta część mojej duszy, ta bardziej przezorna i ostrożna, zasypała mnie w myślach lawiną pytań: – *A co będzie, jeśli twoje akta są nadal w więziennym archiwum? Skąd możesz wiedzieć, jaki będzie twój los? Może wszystko zależy od tego, co powiesz? Może lepiej nie kręć?* Każde moje kłamstwo mogło szybko wyjść na jaw. Myślicie, że było mi obojętne, co się ze mną stanie? Myślicie, że postawiłem na sobie krzyżyk? Ooo nie! Gdzieś wewnątrz mnie był mały bezbronny chłopiec, który trząsał się ze strachu. Nie chciałem umierać. Ten zwykły gest, kiedy facet z emblematem SS na kołnierzu poczęstował mnie niemieckim szlugiem, obudził we mnie nadzieję. To było jak płomień w ciemnościach, który zbłąkanemu wędrowcowi oświetla drogę.

Odważnie spojrzałem na twarz esesmana i powiedziałem jedno słowo:

- Dożywocie.

Kiedy ten usłyszał z ust tłumacza: - Lebenslänglich - nawet mu nie drgnęła powieka.

Znowu zamienili kilka słów.

- Czym sobie zasłużyłeś na tak srogą karę?

- Zostałem skazany za zabójstwo – przyznałem się bez zająknięcia i uciekłem wzrokiem w kierunku okna. Po drugiej stronie krat malował się jaskrawy błękit popołudniowego nieba.

Ich dwójka ponownie oddała się rozmowie. Byłem pewien, że zaczną mnie wypytywać o szczegóły zbrodni, za którą przyszło mi pokutować i w głowie zacząłem układać odpowiedzi na pytania, które za chwilę mogłem usłyszeć. Jednak ku mojemu zaskoczeniu, Sturmbannführer Ficken był zainteresowany czymś zupełnie innym.

- W jednej z cel znaleźliśmy zwłoki więźnia. Został zastrzelony. Wiesz coś o tym?

Wzruszyłem ramionami i odparłem:

- Słyszałem strzał, ale nie mam pojęcia, co się wydarzyło. – W tej samej chwili nabrałem pewności, że Frantz z zimną krwią zabił Ślązaka.

- Te listy – żołnierz kiwnął głową w kierunku metalowego pudełka, które spoczywało na stole – pojawia się w nich nazwisko rodziny von Gerswalde. Możesz to wyjaśnić?

Powoli zacząłem snuć opowieść o mojej znajomości z Ojczulkiem, a z każdą chwilą czułem jak w duszy budzą się stare, radosne wspomnienia. W pewnym momencie złapałem się na tym, że chyba mimowolnie uśmiecham się pod nosem. Herr Ficken był ciekaw nawet drobnych spraw i wypytywał o różne detale. Swoim zachowaniem i łagodnym tonem głosu wprowadził całkiem miłą atmosferę. Poczęstował mnie kolejnym papierosem, znowu podał mi ognia i cały czas się uśmiechał. Gaworzyłem sobie z nimi jak z dobrymi kumplami, których nie widziałem szmat czasu. Potem tematem przewodnim zostały kolorowe pocztówki, które przywędrowały zza oceanu, aż w końcu padło zupełnie niespodziewane pytanie:

- Lubisz niemiecką literaturę?

Spojrzałem na nich zaskoczonym wzrokiem.

- Ta książka – tłumacz sięgnął po egzemplarz i obrócił okładką w moją stronę – została napisana przez braci Grimm. Wilhelm i Jacob to dwaj wybitni niemieccy uczeni i pisarze. Pan major jest po prostu ciekaw, czy lubisz ich twórczość – uśmiechnął się.

- Tak. Chyba tak – odparłem. - Ich opowieści są bardzo... – zamilkłem na moment, a w myślach szukałem odpowiedniego słowa – bardzo pouczające.

Żołnierz przetłumaczył moje słowa.

Znowu zaczęli szwargotać między sobą.

Po chwili padło kolejne pytanie:

- Od kiedy jesteś więźniem i co tutaj robiłeś oprócz czytania książek?

Wzięłem głęboki oddech i zacząłem od słów:

- Do więzienia trafiłem latem 1922 roku... - mówiłem o tym, że pracowałem w więziennej stolarni, nie omieszkałem się pochwalić, że meble w gabinecie naczelnika i biblioteczne regały to moje dzieła. Z dumą podkreśliłem, że to właśnie ja kierowałem pracą w stolarskim warsztacie. Opowiadając swoją więzienną historię, z każdym słowem nabierałem przekonania, że muszę się jak najlepiej zaprezentować. Nie mam pojęcia, może obudził się we mnie szósty zmysł, a może po prostu wiódł mnie instykt przetrwania? W każdym razie cokolwiek to było, ja ślepo zaufałem temu uczuciu. W pewnym momencie wiedziałem, że muszę przejąć inicjatywę w naszej rozmowie i dać im do zrozumienia, że człowiek z moim doświadczeniem może się tutaj przydać. Siedemnaście lat życia w tym miejscu i moja wiedza na temat funkcjonowania tego więzienia, czyniło ze mnie rzetelnego eksperta. Zacząłem im opowiadać, jak należy postępować z odchodami, jak opróżniać silosy, jak wyprowadzać więźniów na posiłek... Nagle esesman przyłożył wskazujący palec do swoich ust i patrząc na mnie, szepnął:

- Ciiiiiii... – A potem przez kilka chwil mówił coś do żołnierza.

Ten drugi słuchał, kiwał potakująco głową i nagle rzekł:

- Pan major zastanawia się, dlaczego mówisz tak dużo o więzieniu, a nie o tym, że chcesz być wolny?

Te słowa były dla mnie jak uderzenie obuchem w środek czoła. W jednej sekundzie uświadomiłem sobie, że jestem głupcem!

Przecież to wszystko, co mówiłem, musiało brzmieć jak skomlenie psa! Dałem im do zrozumienia, że chcę tu zostać i wiernie służyć! W jednej chwili poczułem, jak moje policzki zapłonęły żywym ogniem, a w głowie miałem pustkę. Obaj mężczyźni wpatrywali się w moją twarz, a ja nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć.

- To nie tak, niczego bardziej nie pragnę, jak tego, żeby wyjść na wolność – nagle zacząłem wyrzucać z siebie słowa z szybkością pędzącego pociągu. - To tylko zwykłe nieporozumienie, to przez tę trudną i nieoczekiwaną sytuację, w jakiej się znalazłem. Dzisiejszy dzień jest dla mnie kompletnym zaskoczeniem i nie myślałem trzeźwo, to wszys...

Wtem Sturmbannführer Ficken z całej siły uderzył otwartą dłonią w blat stołu.

Jego gest był niespodziewany i zaskakujący, a ja i tłumacz zareagowaliśmy w identyczny sposób. Obaj drgnęliśmy z lękiem.

Zapadła cisza.

Mężczyzna w zielonym mundurze najpierw wziął głęboki oddech, a potem pogładził dłonią swoje krótko przystrzyżone szpakowate włosy. Sięgnął po papierosa. Tym razem już mnie nie poczęstował. Po chwili spokojnym głosem odezwał się do tłumacza i zaczął mu coś klarować. Nagle obaj podnieśli się z miejsc.

Ja również wstałem.

Esesman obciągnął poły munduru i założył czapkę. Spojrzał na mnie, po czym sięgnął po metalowe pudełko. Upewnił się, czy wieczko jest dobrze zamknięte i podał je żołnierzowi.

- Niebawem pan major podejmie decyzję, co z tobą zrobić – usłyszałem i obaj wyszli z celi.

Po drugiej stronie drzwi rozległo się szurnięcie zasuw.

Odeszli, zabierając ze sobą moje wszystkie wspomnienia.

Usiadłem na pryczy, wsparłem łokcie o kolana, pochyliłem się do przodu i wlepiłem wzrok w posadzkę.

Tak, oto ja! Król głupców we własnej osobie! Jak mogłem to

zrobić?! Kurwa mać! - ze złością syknąłem w myślach, zacisnąłem pięści i niewiele brakowało, żebym dał sobie w gębę. - *Nie taki przecież był cel! Niech to szlag, niech to kurwa mać jasny szlag! Czy te wszystkie lata spędzone w celi tak bardzo spaczyły moją świadomość, że nawet nie wziąłem pod uwagę, iż mógłbym żyć po drugiej stronie więziennych murów? Czy przywykłem do rzeczywistości skazańca, którego cały świat to zaryglowane drzwi, cztery odrapane ściany i pręty w oknach? Czy jako człowiek, tylko tu potrafię egzystować? To ma być moje miejsce na ziemi? Mój dom? Kurwa mać! Co ja narobiłem?! -* Miałem ochotę płakać, wrzeszczeć, szarpać, kopać i kłać. - *A jeśli dostałem od losu tę jedną jedyną szansę i spieprzyłem sprawę? Niech to szlag! -* Ogarnęło mnie wrażenie, że kolejna myśl rozłupie mi czaszkę. Natychmiast pojąłem jak wielki popełniłem błąd. Ten z kategorii największych życiowych błędów, za który przyjdzie mi srogo zapłacić... a może nawet umrzeć. Nagle wróciły wszystkie parszywe uczucia i znowu znalazłem się w królestwie niemocy i beznadziei. W jednej chwili mój umysł zamienił się w okrutną rzeźnię, a ja gorzkimi wyrzutami bezlitośnie masakrowałem samego siebie.

Stałem się sędzią, katem i ofiarą.

Chociaż zegar na wieży wybijał kolejne kwadranse, nie miałem pojęcia, ile czasu upłynęło od chwili, kiedy tamci dwaj wyszli z celi. Na więziennym korytarzu ciągle panował żywy ruch, a ja nadal miałem wrażenie, jakby tysiące kroków bezlitośnie dudniło o drewniane podesty. Po drugiej stronie okna rozlegał się bezustanny warkot jadących pojazdów. W tym nerwowym zamieszaniu i chaosie raz po raz słyszałem krótkie wojskowe komendy. Cały świat drżał, przestrzeń dookoła pulsowała w szalonym rytmie, a ja siedziałem bez ruchu, wpatrując się tępym wzrokiem w posadzkę.

Pomiędzy czubkami moich butów leżały zdeptane niedopałki.

Ich widok przykuł moją uwagę.

Przez dłuższą chwilę spoglądałem na spłaszczone, nadwątlone pety i chyba po raz pierwszy w życiu doznałem uczucia, którego nie można nazwać jednym słowem. Wyobraźcie sobie, że tkanka mięszkowa waszego mózgu twardnieje, przeistacza się w bryłę gruzu i zyskuje wagę dziesięciu kilogramów. Czy komuś z was zdarzyło się kiedykolwiek ulec takiej iluzji? Możecie mi wierzyć na słowo, że to potworne uczucie.

W pewnym momencie stało się coś magicznego. Jak ręką odjął, przepadł ten cały wściekły hałas i zgiełk. Zmęczenie i nadmiar wrażeń sprawiły, że w uszach i w głowie zapanowała wyimaginowana cisza.

Nie zastanawiając się nad tym, co robię, powoli pochyliłem się do przodu i zacząłem zbierać pety. Wiedziałem, że muszę je sprzątnąć. Miałem to zakodowane. Jedno z przykazań aspiranta Szumskiego brzmiało:

- Jeżeli zobaczę u kogoś w celi na podłodze jakieś śmieci, to Bóg mi świadkiem, że własnoręcznie wepchnę mu je do gardła, ale przez dupę!

Te niedopałki nie mogą tutaj tak leżeć – szepnąłem w myślach.

W celi musi być czysto i schludnie.

Dyscyplina i porządek.

Takie są zasady, których trzeba przestrzegać, koniec i kropka.

Przykucnąłem i skrupulatnie zbierałem nawet drobne okruchy tytoniu. Kiedy skończyłem, rozwarłem palce i spojrzałem na tych kilka kiepów, które trzymałem w dłoni. Podniosłem się z miejsca. Podeszedłem do okna i już chciałem cisnąć garść śmieci na zewnątrz, kiedy widok wojskowych pojazdów i krzątających się wokół niemieckich żołnierzy uświadomił mi... że Szumskiego już dawno nie ma na tym świecie, a więzienne regulaminy przestały obowiązywać. Znowu zerknąłem na niedopałki, które trzymałem w dłoni, a w moje nozdrza uderzył ich nieprzyjemny, stęchły zapach. Ci z was, którzy palą fajki, doskonale wiedzą, jaki odór rozsiewają

zgaszone pety, prawda? One po prostu cuchną.

W mojej głowie pojawił się kompletnie niedorzeczny i absurdalny pomysł. Zważywszy na sytuację, w jakiej się znajdowałem, ta myśl naprawdę zakrawała na coś idiotycznego. Przyszło mi do łba, że trochę szkoda tak po prostu wyrzucić tyle tytoniu. Resztki bo resztki, ale jak to mówią - "ziarnko do ziarnka". Zostało mi tylko kilka papierosów, a dla nałogowego palacza widok ostatnich fajek i świadomość, że nie ma się ich więcej, to prawdziwy koszmar. Chyba patrząc na te śmierdzące pety, momentalnie przekonałem samego siebie, że bez względu na to, jak potoczą się sprawy, powinienem zatroszczyć się o swój nałóg.

Położyłem niedopałki na blacie stołu. Taboret postawiłem w kącie po lewej stronie drzwi, a sam usiadłem na krześle z wysokim oparciem. Sięgnąłem po książkę. Wyrwałem ostatnią stronę, na której był wydrukowany spis treści. Położyłem kartkę przed sobą i zacząłem na nią wykruszać skromne pozostałości tytoniu. Jak na moje oko, nazbierało się tego na dwa skręty. Z dużą starannością poskładałem papier w kostkę, tak aby nie stracić nawet najmniejszej drobinki tytoniu. Schowałem zawiniątko do kieszeni nad lewą pierśią.

Stałem w oknie i spoglądałem na świat, który tonął w promieniach wrześniego słońca. Delikatny wiatr baraszkował pośród liści drzew, które nieśmiało przywdziewały szaty pierwszych jesiennych barw. W przestworzach szybowało stado gołębi, zataczając szerokie kręgi. Sięgnąłem wzrokiem w kierunku zabudowań miasteczka, a potem jeszcze dalej, ponad ostre krawędzie dachów aż do miejsc, gdzie błękit nieba dotykał horyzontu. Tam, gdzie kończyła się linia ciemnego lasu, zaczynały się połacie pól. Ich kolory miały w sobie magię, zupełnie jakby zostało im ofiarowane całe piękno tego świata. Od ponad siedemnastu lat widziałem tylko ten skrawek świata, a i tak zawsze potrafiłem dostrzec w nim coś nowego, coś, co mnie zachwyci,

oszołomi, oczaruje... Coś, co pozwoli na kilka chwil zapomnieć.
Nic nie było w stanie pokonać tych miłych uczuć.

Nic.

Późnym popołudniem 5 września 1939 roku patrzyłem przed siebie na ten urokliwy, malowniczy pejzaż i nie miało dla mnie żadnego znaczenia, że wzdłuż więziennego muru stał rząd ciężarówek. Silniki pojazdów pracowały na jałowym biegu, wszędzie roило się od niemieckich żołnierzy, a w powietrzu unosił się smród spalin. Dookoła panowały zgiełk i wrzawa. Raz po raz podeszwy wojskowych butów wybijały marszowy rytm o bruk dziedzińca. Byłem świadom, że zaczęła się wojna, że wróg wkroczył na polską ziemię i przyznam się wam... że nic mnie to nie obchodziło.

Nic a nic.

Moje myśli dręczyło tylko jedno pytanie – *co będzie ze mną?*

Drzwi do celi otwały się na oścież. W ich świetle ujrzałem tłumacza, który rzucił w moją stronę:

- Wychodź!

Na dźwięk jego słów poczułem się jak ktoś, komu każą opuścić bezpieczne schronienie. Niepewnym krokiem ruszyłem na wprost.

- Idź za tym żołnierzem. – Wskazał ruchem głowy.

Posłusznie wykonałem polecenie.

Zmierzaliśmy ku schodom.

Przestraszonym wzrokiem strzelałem we wszystkich kierunkach. Czułem, jak dziesiątki oczu wpatrują się we mnie z zaciekawieniem. Nigdy nie widziałem aż tylu ludzi na więziennym korytarzu! Wszystkie drzwi do cel były pootwierane. Z ich wnętrz dochodziły odgłosy rozmów. Na każdej kondygnacji, wzdłuż drewnianych podestów, roило się od żołnierzy w szarych mundurach. Większość z nich siedziała, wspierając się plecami o ścianę.

Odpoczywali.

Zerknąłem przez ramię.

Tłumacz maszerował tuż za mną.

- Patrz przed siebie – warknął i szturchnął mnie dłonią w bark.

Idąc schodami w dół, musieliśmy lawirować pomiędzy osobnikami, którzy rozsiedli się na stopniach. Raz po raz ktoś rzucał kilka niezrozumiałych słów w naszą stronę. Na parterze, obok dyżurki, grupa wojaków w pośpiechu ustawiała się w dwuszeregu. Zbiórkę musiał zarządzić gruby, postawny facet, który stał przed nimi i wydzierał się donośnym głosem. Mimo całego zamieszania każdy z żołnierzy spoglądał na naszą trójkę, a ja czułem na sobie ich wzrok.

Po chwili znaleźliśmy się w pustym korytarzu wiodącym do głównego wyjścia.

Ten, który szedł przodem, złapał za klamkę i pchnął pióro drzwi.

Więzienny dziedziniec tonął w promieniach wrześniego słońca.

Obok budynku administracyjnego grupa żołnierzy wsiadała na pakę ciężarówki. Brama wjazdowa była otwarta na oścież. Po drugiej stronie, wzdłuż ulicy, dostrzegłem kilka gąsienicowych pojazdów.

Skręciliśmy w prawo.

W cieniu, tuż przy ścianie budynku, stał znajomy wózek. Ten sam, na którym kiedyś podczas upałów przywieziono na spacerki beczki z wodą. Jednak teraz na wózku leżał inny ładunek. Było tam kilka długich desek, a na nich spoczywało coś sporego, coś, co przykryto starą płachtą brązowego brezentu.

Tłumacz odsunął ciężki materiał, a ja momentalnie wzdrygnąłem się, widząc zwłoki Ślązaka. Martwe ciało leżało na wznak. Jego zastygłe oblicze, spowite trupią aurą, miało w sobie coś hipnotyzującego i wyglądało jak ponura, woskowa maska.

- Wiesz, kto to jest? - usłyszałem pytanie.

- Tak – odparłem i wziąłem głęboki oddech. - Nazywał się Marcin Sroka. – Zrobiło mi się mdło, kiedy pośrodku jego piersi na szarym podkoszulku ujrzałem ciemną dziurę, a wokół niej rozlaną, bordową plamę.

Zginał od kuli.

Tłumacz powiedział coś do swojego kompana, a potem rzekł do mnie:

- Musimy dotrzeć w tamto miejsce. – Wskazał dłonią przed siebie w kierunku muru przylegającego do terenu spacerniaka.

Ja i żołnierz złapaliśmy za ramę wózka i ruszyliśmy do przodu.

Metalowe kółka zgrzytały, podskakując na brukowej kostce. Jazda po kocich łbach nie nastęrczała większych trudności i była jedynie hałaśliwa, jednak sporo wysiłku kosztowało nas ciągnięcie wózka przez spacerniak. Ślżzak i kilka grubych desek miało swoją wagę, a brnąć takim pojazdem po piaszczysto-trawiastym terenie wcale nie było łatwo. Ciężar sprawiał, że metalowe obręcze kół grzęzły w miękkim podłożu.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, żołnierz zdjął hełm, przetarł rękawem czoło i warknął z wściekłością:

- Scheiße!

Ja również czułem, że moje ciało lepi się od potu.

Tłumacz przez chwilę dyskutował z wojakiem, po czym jego rozmówca odpiął saperkę przytwierdzoną do pasa specjalnym uchwytem i podał mi przedmiot.

- Tu zacznij kopać grób. – Wskazał dłonią miejsce w rogu, gdzie schodziły się krawędzie więziennego muru.

Kiedy usłyszałem te słowa, poczułem na karku zimny, nieprzyjemny dreszcz.

Oni usiedli na trawie, a ja zabrałem się za robotę.

Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę, jak trudno jest kopać czymś, co ma trzonek długości pół metra i stalowy czerpak wielkości kajetu. Mając w rękach takie narzędzie, można pracować tylko na klęczkach. Inaczej po prostu się nie da. Nieumiejętnie zrywałem darń, a w mojej głowie kotłowały się ponure myśli. *Czy ta mogiła ma pomieścić dwa ciała? Czy spocznę tu razem ze Ślżakiem? Chryste, czy tak ma wyglądać mój koniec?!* Tylko raz w swoim życiu kopałem grób, ale w miejscu, które było godne pochówku

każdego człowieka bez względu na to, jakich czynów dopuścił się za życia. A teraz? Teraz wymagali ode mnie, żebym zrobił to samo tu. Na spacerniaku. Pod cholernym więziennym murem!

Wyłobitem w poszyciu prostokątny obrys, który miał niespełna dwa metry na metr i pomyślałem, że jest za szeroko, bo i tak przecież nie będzie drewnianej skrzyni. Pod kępami traw ziemia miała szaro-beżową barwę i konsystencję sypkiego piasku. Kopanie w takim podłożu żołnierską saperką i w dodatku na klęczkach, to była istna mordęga. Jednak kilka centymetrów niżej był już zdrowy czarnoziem. Ryłem ten cholerny grób, dwaj niemieccy żołnierze siedzieli obok, a wrześnie słońce powoli chyliło się ku zachodowi.

Od tej niewygodnej pozycji zaczęło mnie łupać w krzyżu. Wstałem, żeby wyprostować kości i chociaż na chwilę odpocząć. Krawędzie dołu sięgały prawie mych kolan. Spojrzałem na tłumacza i zapytałem:

- Jak głęboko mam kopać?

Ten podniósł się z miejsca i podszedł bliżej. Najpierw zerknął na wózek gdzie leżało ciało Ślązaka, potem spojrzał na mnie i powiedział:

- Do pasa!

Do pasa – powtórzyłem w myślach. Ten jego wzrok, ta krótka chwila wahania zanim wypowiedział słowa, natychmiast zrodziły w mojej głowie najczarniejsze wizje. *To koniec* – nagle pod czaszką zabrzmiał złowieszczy, ochryply głos końskiej. - *Tu kończy się twoja żalсна podróż przez życie, które sam sobie zmarnowałeś.* Czulem jak wezbrane morze gorzkich łez ciśnie się do mych oczu. Klęczałem w dole, wbijałem szpadel w czarną ziemię i chyba czekałem na moment, kiedy za swoimi plecami usłyszę szcęk spustu. Robiłem swoje, a w wyobraźni przemykały różne wspomnienia z mojego życia. Pesteczka i Trufel biegną ulicą i kopią pustą puszkę. Ślęczę w tym cholernym grobie, a w uszach słyszę łoskot, z jakim kawałek metalu toczy się po granitowym

bruku. Siedzę z Ojczulkiem na stopniach placu apelowego, Suchy zmierza w naszym kierunku. Jestem na dnie mogiły, a na twarzy czuję gorące promienie lipcowego słońca. Spoglądam na uśmiechniętą twarz Agnieszki. Tonę. Zapadam się w jej szmaragdowych oczach. Raz po raz wbijam czerpak w ziemię, a powietrze pachnie jak w maju. Obłąd! Im bardziej starałem się przestać myśleć o przeszłości, tym bardziej ona wypełniała mój umysł. Podwoiłem wysiłek i z wściekłością zacząłem intensywniej ryć ziemię. Z całych sił złapałem za trzonek. Szybciej, głębiej, mocniej! Czarna ziemia, czarny grób, czarne myśli. *Już czekają na ciebie* – w uszach słyszę szyderczy głos końskiej i nagle oczami duszy widzę twarze. Widzę ich wszystkich! Jest Hrabia, Wolf, Franek Wencel, jest Młody i Rafael, Sroka, Boyko i Dziadunio, jest Marcel Gawroński i Dżordż Dziuba Dziubandowski. Są wszyscy. Nawet ci, którym kiedyś zamarzyła się wolność. Są wszyscy, co do jednego. Wszyscy, których nazwiska wyźłobiłem na odwrocie tablicy.

- Hej ty! - ponad mogiłą rozległ się głos tłumacza.

Podniosłem głowę i spojrzałem w górę.

- Wystarczy – powiedział.

Podniosłem się z klęczek.

- Wyłaż – powiedział Niemiec i wyciągnął w moim kierunku dłoń.

Miał mocny uścisk.

Jednym ruchem pomógł mi wygramolić się z dołu.

Ten drugi żołnierz stał obok i palił papierosa.

Wbiłem saperkę w czarny kopiec i otrzepałem dłonie umorusane drobinkami ziemi.

- Co teraz? - zapytał tłumacza.

Mężczyzna kiwnął głową w kierunku trupa:

- Trzeba go zakopać.

Podeszliśmy do wózka, na którym leżały zwłoki Ślązaka.

Tłumacz zaczął coś mówić do tego drugiego, po czym złapali za brązową płachtę i rozpostarli ją obok na trawie.

Po chwili ciało Sroki zawinięte w materiał z głuchym tąpnięciem uderzyło w dno grobu.

- Zasypuj! - padła krótka komenda.

Chwyciłem za saperkę i przykucnąwszy, zacząłem spychać ziemię z czarnego kopca.

Grudy ziemi z posępnym odgłosem uderzały o połać brezentu.

Zapadał wrześnieowy zmierzch. Wiatr delikatnie szumiał pośród liści drzew, których korony rozpościerały się po drugiej stronie więziennego muru. Gdzieś z oddali dobiegały dudniące odgłosy artyleryjskich salw. Czarna ziemia już do połowy wypełniła mogiłę, a ja miałem wrażenie, że ten kawałek świata za sprawą boskiej ingerencji spowił ponury cień.

W duchu żegnałem mojego kumpla, a zarazem czułem ulgę... że wciąż jeszcze żyję.

Potem we trójkę ubijaliśmy ziemię, deptając stopami miejsce pochówku Ślązaka, żeby w miarę wyrównać teren. Za wierzchnią warstwę posłużyły resztki kęp traw, a to, co zostało, rozrzuciłem saperką na boki.

Jeszcze przez długie tygodnie było widać wyraźną, ciemną plamę w rogu spacerniaka. Potem przyszła długa i sroga zima. Śnieg zalegał prawie do końca marca, a pierwsze wiosenne roztopy zaczęły się w połowie kwietnia. Kiedy zaś wiosna zagościła już na dobre, kiedy cały świat spowiła soczysta zieleń, matka natura sprawiła, że ślad po mogile zniknął.

Nigdy nikomu nie powiedziałem, że w 1939 roku pogrzebałem pod więziennym murem mojego kamrata. Fakt, na przestrzeni lat miewałem chwile słabości, bo niekiedy dręczyły mnie mroczne wspomnienia. Pewnie niektórzy z was wiedzą, jak to jest, kiedy dźwiga się w duszy jakąś ponurą tajemnicę, prawda? Czasami czułem się tak, jakby Ślązak szeptał do mnie z zaświatów, jakby oczekiwał, że zrobię z tym porządek. Jednak ja zawsze zdawałem sobie sprawę, że nawet po wielu latach takie wyznanie

wpędziłoby mnie tylko w kłopoty. Pojawiłyby się pytania, wątpliwości i podejrzenia, ktoś zaraz pokusiłby się o stwierdzenie, że sumienie zaczyna mnie dręczyć, że na pewno miałem z tym coś wspólnego...

Zbyt dobrze znam życie.

Wiem, jak jest.

Ćwierć wieku później, dokładnie w rocznicę pochówku, podreptałem w róg spacerniaka, spojrzałem na ziemię pomiędzy moimi stopami i szepnąłem pod nosem:

- Witaj, stary druhu! Mam nadzieję, że nie chowasz do mnie urazy, a twe kości niech spoczywają w pokoju. Bywaj! Do zobaczenia na drugim świecie!

5 września 1939 roku to naprawdę jedna z nielicznych dat, która wypaliła się w historii mojego życia niczym parszywe, bolesne piętno. Oddałbym wszystko, żeby ten przeklęty dzień nigdy się nie zdarzył. Po pierwsze poznałem, jakie to uczucie, kiedy obłęd jest na wyciągnięcie ręki. Po drugie ten dzień stał się dla mnie początkiem nowego życia, które w miarę upływu czasu ukazało mi najpodlejsze oblicza ludzkiej natury. Po trzecie zrozumiałem, że niekiedy o istnieniu człowieka decyduje ktoś, kto ma niepodzielną władzę. I po czwarte przekonałem się na własnej skórze, że przeszłość jest największym wrogiem teraźniejszości.

II wojnę światową przeżyłem na więziennych korytarzach i opowiem wam o rzeczywistości, która toczyła się z dala od frontowych okopów. Tu nie eksplodowały bomby i pociski. Tu nie stały naprzeciw siebie dwie wrogie armie, gotowe ruszyć w bój na śmierć i życie. Tu nie było zgliszczy i gruzów. W murach wronieckiego więzienia toczyła się inna wojna. Wojna o przetrwanie za wszelką cenę, za wyrzeczenie się człowieczeństwa, wojna o kromkę chleba, łyk wody i kąt do spania. Tu zacierały się wszelkie granice, znikwały ideały, wszędzie czaiła się zdrada, a bohaterowie ginęli okrutną i powolną śmiercią.

Dopełniwszy pochówku Ślązaka, wróciliśmy na blok B, który ku mojemu zdziwieniu prawie cały opustoszał. Na sterowni było kilka osób, a wśród nich również major Ficken, który wydawał jakieś polecenia.

W asyście tłumacza pokonywałem kolejne stopnie drewnianych schodów. Dobrnęliśmy do kondygnacji, gdzie znajdowała się cela numer sześćdziesiąt siedem i tam skierowałem swe kroki. Przez cały dzień nie miałem niczego w ustach, uczucie głodu drażniło żołądek i w momencie, kiedy przekroczyłem próg celi, obróciłem się przez ramię i zapytałem mojego konwojenta:

- Dostanę coś do jedzenia?

Ten spojrział na mnie lekko zaskoczonym wzrokiem:

- Nie wiem - odparł, po czym zamknął drzwi.

Stalowa zasuwka uderzyła ze znajomym traskiem.

W celi panował półmrok.

Podszedłem do okna.

Gasnąca, krwista poświata tliła się resztką sił na zachodniej stronie horyzontu. Ulica, na której kilka godzin temu stał rząd pojazdów, była pusta i tylko wiatr delikatnie poruszał wrześniowymi liśćmi, które snuły jakąś szeleszczącą opowieść.

Zapadał zmrok.

Cisza.

Tylko cisza i niebo pełne gwiazd połyskujących swym zaczarowanym blaskiem.

Usiadłem na pryczy i zacząłem się zastanawiać, jak to możliwe, że w ciągu jednego dnia tak wiele wydarzeń przemknęło przez moje życie?

Sięgnąłem po papierośnicę.

Kiepska sprawa - pomyślałem, patrząc na rząd sześciu ostatnich fajek.

Wyjąłem szluga, włożyłem w usta i już miałem zapalić, kiedy nagle usłyszałem, jak po drewnianym podeście zbliżają się czyjeś

kroki.

Wstrzymałem oddech.

Ktoś zmierzał w kierunku mojej celi.

Rozległo się szurnięcie zasuw.

Zdążyłem położyć na blacie moją papierośnicę i poderwałem się z miejsca.

Drzwi otwały się na oścież, a w ich świetle ujrzałem postać tłumacza.

Wszedł do środka.

W dłoni trzymał puszkę z rozprutym, zagiętym wieczkiem i dwie kromki chleba.

- Co to jest? - zapytał, patrząc na prezent, który wieki temu dostałem od Ojczulka.

- To moja papierośnica, upominek od przyjaciela na 25 urodziny - odparłem.

- Zostało trochę chleba i wojskowej mielonki - powiedział, kładąc jedzenie na stole. Sięgnął po cygaretkę i przez chwilę uważnie się jej przyglądał. Musiał dostrzec wygrawerowane inicjały i datę.

- Fajna pamiątka - powiedział i odłożył przedmiot na to samo miejsce.

- Jak pan ma na imię? - Nie wiem, jak to się stało, przecież wypadało podziękować za strawę, a z moich ust wymknęły się inne słowa.

Tłumacz spojrzał na mnie. Miał bardzo specyficzny uśmiech, tak jakby ten grymas potrafił zagościć tylko po lewej stronie jego twarzy.

- Dieter - powiedział. - Nazywam się Dieter Norbacht.

Już chciał odejść, ale ja odezwałem się ponownie.

- Dziękuję Dieter za jedzenie. - Miałem wrażenie, że jego imię brzmi w moich ustach na wpół śmiesznie i na wpół nienaturalnie. - Co ze mną będzie? - zapytałem.

Zamarł w bezruchu, spojrzał mi w oczy i odparł:

- Nie wiem. - Obrócił się na pięcie i wyszedł z celi.

Siedziałem przy stole i zjadałem niemieckie specjały. Chleb był dobry, lecz bardzo kruchy, ale za to wojskowa mielonka pierwsza klasa. Od samego zapachu człowiek robił się pięć razy głodniejszy, a smak konserwowego mięsiwa był tak pyszny, że ludzie złoci - paluchy lizać!

W życiu bywają takie sytuacje, że człowiek po prostu wie co ma robić. Być może w duchu odzywa się wtedy instynkt albo przeczucie, a nasze postępowanie jest inne, ostrożne i pełne przezorności. Kiedy zjadałem mielonkę, ten tajemniczy głos podpowiadał mi, że muszę nauczyć się oszczędności. Jedną kromkę chleba odstawiłem na półkę. *Będzie na jutro* - postanowiłem, choć nie miałem pojęcia czy przetrwam jutrzejszy dzień.

Zegar na wieży wybił cztery pełne kwadranse, a potem uderzył jeszcze dziesięć razy z rzędu. Zapaliłem szluga i podszedłem do okna. Cisza i noc mają to do siebie, że w ich królestwie wszelkie odgłosy stają się bardziej wyraźne i dosadne. Gdzieś z oddali dobiegało dudnienie armat. Nawet ktoś taki jak ja zdawał sobie sprawę, że wojenny front w błyskawicznym tempie sunął we wschodnim kierunku. Tylko... tylko że tak naprawdę to nie miało dla mnie żadnego znaczenia. Moje myśli zaprzętało coś zupełnie innego. Umysł wypełniały pytania: - *Co będzie ze mną? Jaki czeka mnie los?* Żar papierosa zaczynał parzyć opuszki palców. Oddzieliłem płonąca końcówkę od reszty peta, spojrzałem na niespełna centymetrowy skrawek tytoniu otulonego bibułką i szepnąłem pod nosem:

- Oszczędzaj.

Znowu usiadłem przy stole, wyjąłem z kieszeni papierowe zawiniątko i wykruszyłem to, co zostało.

Tej nocy długo nie mogłem zasnąć. Leżałem na pryczy i raz po raz nerwowo przekręcałem się z boku na bok. Nie byłem w

stanie wyrzucić z głowy niepokojących myśli. Umęczone ciało szukało chwili wytchnienia, ale umysł, niczym bezwzględny kat, długo nie chciał na to pozwolić.

Kiedy otworzyłem oczy, od razu szepnąłem w duchu:

- *Przecież to niemożliwe! Dopiero przed chwilą zamknąłem powieki!* - Światło dnia, które wpadało do celi i warkot silników dobiegający do moich uszu uświadomiły mi jednak, że twardym snem pokonałem część nocy.

Wzdłuż ceglatego muru jadą wojskowe pojazdy, zupełnie jakby tędy wiódł najbardziej ruchliwy szlak komunikacyjny. Stoję w oknie, spoglądam na znajomy skrawek świata i czuję się tak, jakbym doświadczał *deja vu*. Wszystko wygląda identycznie jak wczoraj. Tylko hałas na korytarzu nie jest tak intensywny.

Siadam przy stole.

Bez pośpiechu zjadam kromkę chleba.

Kilka łyków wody.

Palę papierosa.

Resztki kiepa ładują w papierowym zawiniątku.

Zegar wybija dziewiątą.

Ja znowu w oknie.

Nuda.

Kładę się na pryczy.

Myślę.

Leżę.

Siadam.

Gadam sam do siebie.

Wpół do dziesiątej.

Wstaję.

Spacer od drzwi do okna, od okna do drzwi. Sto pięćdziesiąt kroków. Dwieście. Trzysta trzydzieści trzy. Przestaję liczyć, przecież to nie ma sensu.

Patrzę w okno. Wojskowa kolumna ciągle w ruchu.

Łyk wody.

Fajka.

Niepokój.

Kurwa mać! Zostały mi jeszcze trzy szlugi.

Dziesiąta.

Prycza.

Krzesło.

Spacer.

Wpół do jedenastej.

Wlewam reszkę wody do miski. Robię kilka łyków.

Kładę się na kojo.

Za kwadrans jedenasta.

Leżę.

Jedenasta.

Wstaję.

Zaczynam dreptać stopa za stopą.

Trzynaście moich stóp to dystans od okna do drzwi. Zastanawiam się, ile razy musiałbym przemierzyć celę, żebym mógł powiedzieć:

- Zaliczyłem długość równika!

Wpół do dwunastej.

Papieros.

Tragedia, jeszcze tylko dwie fajki!

Wykruszam resztki. Ziarnko do ziarnka, pamiętam o tym i szepczę pod nosem:

- Będzie na czarną godzinę.

Za piętnaście minut dzwony uderzą na Anioł Pański.

Cisza.

Podchodzę do okna. Pusto.

Na więziennym dziedzińcu stoi połowa kuchnia. Obok niej dwóch żołnierzy. Z rury kominowej ulatuje dym.

Czyjeś kroki zbliżają się na drewnianym podeście.

Szurnięcie zasuw u drzwi.

Staję obok okna w regulaminowy sposób. Przecież doskonale

wiem, że ręce mają być opuszczone, a dłonie na widoku.

W świetle drzwi widzę Dietera.

Posyła mi krótkie spojrzenie, kiwa znacząco głową i mówi jedno słowo:

- Idziemy!

Jestem w progu celi, tłumacz ruchem dłoni wykonuje gest, który znaczy, że mam iść pierwszy i zaraz potem dodaje:

- Wychodzimy na zewnątrz!

Na więziennym korytarzu panowała absolutna cisza. Oprócz naszej dwójki i trzech żołnierzy, którzy siedzieli na sterowni, nie było nikogo. Zeszliśmy schodami na najniższą kondygnację. Marszowym krokiem minęliśmy kratę oddzielającą blok B. Dopiero kiedy zniknęliśmy za zakrętem, obróciłem nieznacznie głowę w lewo i zapytałem:

- Wiadomo już, co ze mną będzie?

- Niebawem się dowiesz - odparł i zaraz dodał oschłym tonem: - A teraz przestań gadać i idź przed siebie - mówił tak, jakby obraził się na cały świat.

Pchnąłem masywne wrota i moim oczom ukazał się więzienny dziedziniec skąpany w radosnym, wrześnieowym słońcu. Obok budynku administracyjnego stała grupa ludzi w czarnych mundurach. Palili papierosy i rozmawiali między sobą. Kilku z nich spojrzało w naszym kierunku.

- Skręć w prawo - usłyszałem za swoimi plecami.

Posłusznie wykonałem polecenie.

Zegar na wieży zaczął właśnie wybijać południe.

- Stój! - Dieter szturchnął mnie w ramię.

Zatrzymałem się wedle rozkazu.

Tłumacz podszedł do dwóch żołnierzy, którzy stali obok polowej kuchni i zaczął coś do nich mówić. Po chwili jeden z nich otworzył pokrywę kotła, spod której wydobyły się kłęby pary. Sięgnął po chochlę, zamieszał, po czym zaczerpnął ciepłej stawy.

Stałem kilka kroków dalej i przyglądałem się całej sytuacji. Nagle Dieter ruchem głowy przywołał mnie do siebie. Podeszedłem.

- Trzymaj. - Podał mi łyżkę i menażkę w kształcie elipsowatego walca, w której była ciepła potrawa. - Jedz! Tylko się pośpiesz, bo za kwadrans major Ficken oczekuje nas w swoim gabinecie.

Chwyciłem za menażkę i w głębi duszy poczułem radość. To nie mogło być tak, że przed egzekucją dadzą mi jeszcze zjeść. To był dobry omen! Nie marnowaliby przecież michy żarcia dla kogoś, komu mają zamiar wpakować kulkę. Zanurzyłem łyżkę w gęstej zupie i prawie parząc sobie język, ze smakiem zjadałem gorącą grochówkę. Chryste, jakież to było dobre! Tak pysznego posiłku od lat nie miałem w ustach! Wiosłowałem jak szalony, jakbym się bał, że w ciągu piętnastu minut nie będę w stanie zjeść tego rarytasu. Niemieccy żołdacy spoglądali na mnie jak na jakieś fascynujące zjawisko. Tych dwóch kuchcików i tłumacz musieli rozmawiać o mnie, bo bez przerwy spoglądali w moją stronę.

Zjadłem wszystko, a jeśli tylko bym mógł, to nawet wylizałbym wewnętrzne ścianki wojskowej menażki.

- Proszę im powiedzieć - zwróciłem się do Dietera - że to jest po prostu pycha!

Chyba spełnił moją prośbę, bo ci dwaj spojrzeli na mnie, nie ukrywając swojego zadowolenia.

Chwilę później zmierzaliśmy w stronę gabinetu, który kiedyś zajmowali naczelnicy tego więzienia.

Kiedy teraz piszę o tym, mogę stwierdzić, że większość ludzi nie docenia zwykłych, prostych rzeczy. Traktują je jak coś zupełnie naturalnego i oczywistego, i tylko człowiek, który naprawdę poznał uczucie głodu, wie, że pełny żołądek to prawdziwa rozkosz.

Major Ficken siedział za biurkiem, na którym spoczywała sterta szarych teczek, kryształowa popielniczka i moje metalowe pudełko po wiśniach w czekoladzie. Promienie południowego słońca wpadały do wnętrza pomieszczenia przez dwa duże okna, a

ich jaskrawe światło odbijało się w politurze mebli.

Gefreiter Dieter Norbacht usiadł na krześle obok okna, a ja stałem na baczność pośrodku gabinetu. Nawet nie wiem czemu, uroiłem sobie, że Sturmbannführer SS Martin Ficken doceni kunszt mebli, które znajdowały się w tym pomieszczeniu. Czepiłem się tej myśli, jakbym zupełnie zapomniał, że parę dni temu wybuchła wojna, jakbym patrzył na świat przez pryzmat pracy i własnych umiejętności, jakbym do końca nie pojmował, co się właściwie dzieje. *Dostałem jeść, więc mnie nie zabiją.* - To był dla mnie argument nie do podważenia.

Esesman wziął w dłonie teczkę, która leżała przed nim i powiedział:

- Alle Dokumente, die deine Person betreffen, sind erhalten geblieben!

Jego głos brzmiał spokojnie, równie dobrze mógł zacząć mówić o tym, że właśnie dostał atrakcyjną ofertę z biura podróży i podczas urlopu planuje się wybrać w jakiś uroczy zakątek, gdzie można odpocząć i zapomnieć o bożym świecie.

- Pan major mówi, że zachowały się wszystkie dokumenty dotyczące twojej osoby - powiedział Dieter. Jednak nie chodziło o jego wypoczynek, tylko o moją przeszłość.

- Laut diese Dokumente, der Gefangene Stanyslaw Zabykowski, Identifikations Nummer neunundzwanzig elf ist ein Bandit und Bolscheiken-Terrorist. - Moje imię i nazwisko śmiesznie brzmiały w jego ustach.

Ficken sięgnął po swoją srebrną papierośnicę, a ja usłyszałem:

- Wynika z nich, że więzień Stanisław Żabikowski, numer identyfikacyjny dwadzieścia dziewięć jedenaście, jest bandytą i bolszewickim terrorystą.

Potem mówił łagodnym tonem, co chwilę robiąc przerwę, żeby tłumacz mógł pełnić swą rolę. Miałem na uwadze, że powinienem jedynie słuchać, a odpowiadać rozsądnie i tylko wtedy, kiedy będę pytany.